



# WSTĘP Z PODRÓŻY PO WŁOSZECH

przez

ERNESTA BUŁAWĘ.

LIST Z SYCYLJI DO  .

W pełnem morzu.

Nigdy rozminięcie się z tobą mój Onarato, nie było mi przykrzejsze jak tym razem. — Jakżebyś rad ujrzeć twoje płótna, już nie szkolne, ale wyemancypowane samodzielnością pracy, potężniejsze siłą rysunku i bogactwem kolorytu — pamiętny tego morza i Wezuwiusza, który na pamiątkę zrobiłeś mi z mego terasu hotelu Washington w Neapolu. Nigdy może więcej nie potrzebowałem uściśnienia przyjaznej dłoni artystycznej jak tym razem, w chwilach niepewnych a brzemiennych pracami młodości, które odważyłem się nieść pod włoskie niebo. Z powodu tego rozminięcia się z tobą w Rzymie, sam przesiedziałem w ciągu jednego dnia niezmierną chwilę w Coloseum, w mej dawnej speluncie i w termach Caracali, wspominając jak mnie tam przez pomyłkę na noc zamknięto i wszystkie myśli do tej nocy wiążące się, które ci kiedy indziej opowiem, i moje tamże przechadzki z Lisztem i długie rozmowy. I sam przeblądziłem przestrzenie świętego Piotra, od pomnika do pomnika, od mozaiki do mozaiki, gdzie niegdyś wydeptałem prawie ścieżki od lwów Canowy do grobowca Pawła III. i sam jak ongi przesiedziałem pod moją trzydziestą i którąś kolumną św. Piotra, przy szumie fontan, i sam przewędrowałem Braccio Nuovo Watykanu, i przeleciałem Via Appia, by potem cię nie zastać w Neapolu i samemu z piersią jak nigdy przepelnioną, przeleżeć w złotym piasku na Villa Reale, patrząc na amfiteatralną zatokę, z błękitnawej Partenopy ziejący Wezuwiusz, i w girlandach winnic a w śnieżnych gołębi festony ruchome otoczony, cichy... grób Wirgilego... Morze szumiało fal miljonem, a fale silniej wzbierają wszech uczuć i myśli potopem, i czułem w tej chwili, że jeśli ocean jest harfą, to niemniej harfa jest oceanem nieskończoności, w którym zakłęte wszystkie nieba i piekła, jakie przechodzi duch ludzki po szczeblach drabiny swego postępu, a każdy, który już przeszedł jest mu niczem

i tylko przyszłe są mu pożądane na tych schodach snu Jakubowego, i czułem, że najstraszniejszym z uczuć jest potrzeba kochania, i że jeżeli samotność w nieszczęściu jest groźną, to w chwili szczęścia jest najsmutniejszą z smętności.

Ponieważ cię nie było, ani w Rzymie, ani w Neapolu, za karę przesyłam ci ten list z za Oceanu pisany, często w pełnym morzu, dzielący się z tobą wycieczką do Sycylii, którą chciałem dosnuć mając pielgrzymkę po całej Italji, a jej greckimi zabytkami dopełnić mej podróży dawniejszej po Grecji. W ostatnich kilku godzinach w Neapolu, poszedłem do Borbonico raz jeszcze posiedziawszy u stóp Apollina Kytharredos, pocałowałem na pożegnanie moją Psychę Kapuańską, pozdrowiłem pompejańską Lirnicę, strojącą dwie lutnie na jednaki ton, i zazdroszcząc jej tej harmonji skoczyłem w łódkę... Morze wzdycha niespokojnie i miota nią gwałtownie, mrok wieczora zapada, niebo szafirowe coraz ciemniej, statek długi warkocz dymu rozplata i wieje nim na pożegnanie i już porze piany otchłani, girlanda dzikich mew rozpleciona na niebie krzyknęła dziko, odwǳorowali jej majtkowie — wznosi się kotwica, ho! hu! ho! hu! płyniemy daleko i dziko, byle nie wracać. Neapol oddala się w urokach uśmiechniętych bez końca wśród tych czarów błękitnych i promiennych, tych harmonji linji rytmicznych w naturze, nigdzie piękniejszych.. półkole zatoki spiętrzonej łagodnie, góry San Martino i Kamedulów błękitnieją, nikną otulone mgły powłoką jak postacie drogich osób, które już otacza mgła oddalenia a które żal idealizuje. Wreszcie wysuwa się Wezuwiusz, nad jego piekłem hostja księżyca biała zawisła w anielskim podniesieniu, u stóp jego biała spiąca Pompea, śnieżnym całunem mgły pokryta, ta pełna ironji ofiara, której katusza na światło i rozkosz tylu umysłów się stała, a której tak spokojnie w oczy poglądał Plinius, zaprawdę nieśmiertelny; gwiazdy zatlone nad nieskończonościami mórz mrugają śród ciszy, a noc nadpływa z daleka i leżąc rozpuszcza włos kruczy i płaszczem gwiazdolitym otula przestworza sennej ziemi. Na jej tle podniósł się Wezuwiusz — oto! perjod jego wybuchania! Raz szczyty jego zieją w niebo łuną piekielną i przygasają ku śnieżnemu obliczu księżyca, płynącego w ciszy niebieskiej, a raz miota strumieniem płomienistym, który w trzech kierunkach pędzi w dół kaskadą stopni kamiennych, błyszcząc falami w oddalach nocy i świeci po nad całe morze; blaski i okropność cudownego zjawiska czyniąją mnie tak, że drzę cały, trzymając się lin podrzucanego okrętu. Coraz ciemniej — coraz ognistsze trzy kaskady w dół pędzą po sobie, coraz ciemniej — wiatr zrywa się od Capri — zawijam się płaszczem szamotanym i dalej wśród huku pian stoje podczas żeglugi, dopalając ostatnie wiedeńskie cygaro. Skala ognia coraz jaśniejsza, płomienistsza śród ciemności nocnych, niknie we mgłach roztopiona Partenope uśmiechnięta!

Kolebko ludzkości! gdzie te wieki młodociane, kiedy na



łodziach łabędzio — skrzydłych, z śpiewem choralnym płynę-  
 liście syny natchnionej, harmonijnej i bohaterskiej Hellady, roz-  
 nosząc z osadami waszemi cywilizację i tradycję Bogów Olimpu,  
 pieśń Homera, myśl Platona i kolumny Kalikratesa. Ku Parte-  
 nopie żegłowały łodzie wasze, wiedzieliście w instynkcie waszym  
 czemuście te brzegi wybrali! Wybór zaiste Greków godzien.  
 Śpiewają na łodziach w zachwycie i w radości wesoło dobijają  
 ładu, a resztę dzieje dopiewują i Apollo Kytharredos i Psy-  
 che kapuańska.

Odwraca się i tonie z kolei Wezuwiusz, iskierką niknie,  
 zbliża się ostro zębiasta Capri i Anacapri z swemi schodami,  
 z których schodziłem raz, nocą najpiękniejszą w życiu; — mijamy  
 gruzy świątyni Herkulesa — chowa się Capri i Salto di Tiberio,  
 nastaje cicha pełnia morza i nieba — za nami złota szeroka  
 ścieżka rozorana piersiami okrętu, zda się na zawsze rozesłana,  
 taka spieniona i wybitna, a wrzekomo się zaciera i ustępuje  
 nowym falom jak uczucia ludzkie, których słowa zwykle są fatą  
 morgana życia. W tej nocy i ciszy gwiazdolitej może myślisz,  
 że głównie o Sycylji i Helenach myślałem. O nie — myślałem  
 o dwóch rzeczach a raczej przedmiotach, które mnie na wskroś  
 przepełniały, o jednym człowieku, którego tylko co poznałem, by  
 znów pożegnać, i o jednej książce, którą przeczytałem, by jej  
 nie zapomnieć. Tym człowiekiem to Teofil Lenartowicz, tą  
 książką to „Drogi ducha“, przez autora Ojczyzny naszej.

Zanim ta noc na statku przeminie i promień słońca draś-  
 nie Sykulskie brzegi, — powiem ci i wypowiedzam wrażenie  
 doznane po obu: gwiazdy błyszczą i fale szorują, gdzieś pluska  
 Delfin wesoły, a piosenka majtka co nie spi jak ja, rozlega się  
 z jednostajnością melancholiczną nad przestrzeniami fal niby głos  
 mewy pustelnicy.

Szczęście czułem z poznania tego, któremu w pieśni tyle  
 ukochał, jednego z ostatnich złotej plejady naszej pierworzędnej  
 a niepowrotnej. Trwożę czułem, przekraczając próg Teofila,  
 pieśniarza, którego Zachwycenie zachwyca zamki i sioła, a Bło-  
 gosławiona błogosławi niebieskim spokojem dzieci ludzkie, a któ-  
 rego pszczołobrzęka lira dziś poślubiła dłuto niepospolite. Myślisz,  
 że mnie powitał aforyzmi powagi świecznikom właściwej? nic  
 mniej. Ziomek zacny nasz w Florencji, pan A. W, wprowadził  
 mnie do tego pokoiku, więcej jak skromnego na Croce al Trebio,  
 z kąd pieśń tyle popularna przeciekła i wsiąkła we wszystkie  
 serca polskie, a dziś we włoskiej mowie poczyna się rozbrzmie-  
 wać. W tej izdebce, atelier razem stanowiącej, jest jakaś atmos-  
 fera ciepła, tem serdecznem ciepłem polsko sielskiem, którą się  
 z cichą łzą wdzięczności opuszcza, a bierze jak błogosławieństwo  
 z wspomnieniami na drogę. Człowiek w niej cichy, z uśmiechem  
 płaczącym, dobroci anielskiej, człowiek o natchnieniu ewangielicz-  
 nej prostoty, z tradycją bonus pastor z katakumb chrześcijań-  
 skich przedświtów, który odrazu wita w tobie brata, ogarnia

uczuciem, rozrzewnia pieśnią i zdumiewa pracą, a siłą serca nad potęgami cierpienia i samotności, w jakich przebywa. Myśmy zdaleka przywykli, po tej srebrnej lirence, co zawisła dla miłości każdego domostwa na ścianach polskich, jak krzyżyk na gwoździu, sądzić Lenartowicza, po jego Kalinie i pieśniach z wonią siana, rosą podzwonną i tęczami łez ludzkich pomieszanych, tylko po szumie lipy czarnoleskiej, słabo nas dolatującym go sądzimy. Dudarza miłościwego, tylko po myśli sądzi kto nie zna człowieka a to tylko jedna jego strona. Lenartowicz, to prócz poety sielsko-lirycznego, to człowiek o groźnej głębi ducha, poważnej jak gotycka świątynia, najrozleglejszych wiadomości z brzękiem pszczoły zbieranych, kosztem życia, to orzeł bujający wysoko a tylko głosem skowronka obdarzony — i po tym głosie sądzą go ludzie!

W pokoiku tym rozrzucone aparata i prace rzeźbiarskie, tak dziwnie i z taką niespodzianką włoskich nawet artystów poczęte. Wiesz o rzeźbie dokonanej chlubnie: Przejście Izraelitów przez morze; — oto druga tylko co pomyślana w modelu: Misa z głową świętego Jana.

Zaiste poeta rzeźbiarzem a rzeźbiarz wieszczem! i podwójnie jak Francia (malarz) mógłby się podpisywać. Na okrągłej dużej płycie wypełnionej płaskorzeźbami, o kształcie życia pełnym i rysunku szlachetnym, nadewszystko o draperjach po starożytnemu pojętych, za którymi nie idą ciała jak dziś, ale które idą za ciałem, wśród szału, wesela i tryumfu materji w historycznie ujętych rapsodach, grupami i alegorycznie przedstawionych, z natchnieniem przypominającym Donattella, a formą Ghibertego, co za sporność! w środku we wianku kilku słów świętych i proroczych, leży głowa świętego Jana z spoczynkiem już niebieskiego zachwytu, jakie miała niebios narzeczona, z pięknością pośmiertną jakiej nie zna życie. Tę samą głowę znam przez Correggia i Guida, przez Carlo Dolce i Schöngauera robioną, o żadna (*sum cuique*) nie sprawiła mi tego wrażenia — czemu? bo tam sztuka mistrzynią, tu poezja prawdy pełna wcieliła ten prosty kalwaryjski wyraz, pokrewny chuście świętej Weroniki! — Dalej w około manuskrypta Teofila, wśród nich ostatni wiersz do Kornela Ujejskiego, który jak ptak przeleciał szybko nad Włochami, czy z tęsknoty za krajem, czy z żądzę wyśpiewania czegoś nowego.... Rozmowa Lenartowicza cicha i rzewna, prosta a głęboka jak źródło świeży, jakże nam szybko i mile płynęła... Rzucił w nią wszystkie kwiaty miodowe, jakimi rozporządza tak hojnie. Nie pytajcie o czem mówiliśmy, ale o czemśmy nie mówili! o kraju, o sztuce, o Helladzie, o świecie bizanckim i fantazji wschodniej, o Rafaelu, o jego skrzypku, o Savonaroli i świętej Katarzynie Siennejskiej, o kopułach Brunaleskiego i Buonarrottego, o Romie i Egerji, wreszcie o róży i cierniach... o sercu i troskach jego od straty ukochanej żony, i chorobie (kamień!!), która go dręczy mniej, niż kamień co ciśnie serce stęsknione za krajem... Zostawiać Lenartowicza samego



w tym pokoju, choć w sąsiedztwie Pitti i San Lorenzo, z samotną żalością, której praca nie zagłusza, to się nie godzi. Przebóg, czyżby kraj nie miał jednej użyteczniej a wzniosłej posady, któraby go ziomkom, a jemu słońce ojczyste wróciła, nim rosa oczy wyje?... Dni nasze są policzone i może pomyślą nad tem ci, co czytać umieją. Jednak czy Lenartowicz zniósłby nasz klimat i... nieco mroźniejsze usposobienia pewnych koterji? to inne pytanie — ale dość, łzami dajcie mi pisać, bo atramentem o tem się nie godzi!...

Druga rzecz, kiedy już z tą rozstać się trzeba, to książka „O drogach ducha“ Augusta Cieszkowskiego. — I on tylko co był we Włoszech, jeszcze świeże ślady jego we Florencji. Książkę tę przeczytałem z spokojem i dawno nieczutą równowagą ducha, jaką napelnia, zdaje się ona dalszem pasmem myśli Ojczy nasza, napisana z tym filozoficznym spokojem myśli słowiańskiej, świadomej dróg dziejowych ludzkości a po przyczynach i skutkach odgadującej prawa bytu czasów nadchodzących... Uspokoiła ona mnie pod wrażeniem zgrozy i oburzenia, jakimi każdy umysł nawet nie polski, byle nieco szlachetny, napelnić musiały bezczelne wyrazy o sprawie naszej, wyrzeczone do posłów naszych z szyderstwem szatana, ustami krzyżaka bez krzyża, bluźniącego Opatrzności, której mieni się narzędziem, pijanego zwycięztwy zbyt łatwemi a napojonego posoką nieszczęśliwych\*). Książka ta była mi odpowiedzią na to — tryumfem myśli polskiej, jaki ją czeka na polach pracy dziejowej i duchowej. Tyle myśli treściwych w tak ścisłych ramach; tylko tak ujęta, w taki ład spięta dialektyka zmieścić może.

Drogi ducha ludzkości przyszłej są osią główną tego systemu, drogi te rozmyślane i przeczute tam są z dziwnym spokojem pogody sokratycznej i doświadczeniem głębokiego rozmyślenia, któremu dzieje polityczne, tak jak dzieje psychiczne i wiedza ludzkości, skarbnica jej uczuć i prawa jej dążeń, znane w przyczynach i skutkach, jak klawiatura, po której spokojnie szybuje ręka mistrza. Jak gamma tęczy znane mu głosy plemion dziejowych. Część pierwsza zawiera rzecz o zawiązku „myśli a słowa“ złączonych jak duch z ciałem w ich wzajemnem uzupełnianiu się. „Wszelkie tajniki myśli, mówi autor — są słowa przystępne, cokolwiek pomyślisz, bylebyś obmyślił, niechybnie wysłowisz. Czego nie wysłowisz, tegoś niezrozumiał, to poczęło ci się w przeczuciu, lub zaroilo w domyśle, ale do myśli niedojrzało...“ Na tej zasadzie dalej wznosi swoją budowę dowodząc, że słowo i myśl są sobie powodem i dowodem, że się wzajemnie wołają — mnogie ustępy z biblji i greckie słowo logos, oboje oznaczające, służą jako środki dialektyce o jednakiem rozumowaniu. Zastanowiwszy się nad związkim i stosunkiem obojga

\*) Mowa tu o mowie berlińskiej Bismarka.

i ich dzieckiem czynem (słowo ciałem), autor przechodzi do pierwiastków myśli słowiańskiej. „Myśl słowiańska — prawi — greckiej powinowata, a więc życie w całej pełni uchwycić zdolna, na tor pierwszy w tradycji pilnowany, stanowczo nawraca. Aliści wskazówka tego myśli słowiańskiej uzdolnienia, tkwi znów w słowiańskich narzeczach, zarówno abstrakcjom jak zamętom wrogich, kędy wszelki wyraz i wszelka składnia miasto ułatwienia się w jakąś mglistą nieskończoność, żywotną owszem plastycznością i organicznością się odznacza. Alboż — mówi dalej — sam wyraz myśl, zamknięty umem w słowo, a tym przepływem jedno z drugim kojarząc u-my-słowo nie zdawałoby się poniekąd odpowiadać temu, co w Grecji o wzniosłym pojęciu zrozumieli?“ Świat więc słowiański, w tym związku pojęty na drogach ducha widzi i wita autor — jako świat myśli Bożej polem będący w przyszłości — świat to Mickiewicza, o którym z uwielbieniem przemawia, ideał to jego prelekcji słowiańskich, z których okazji sromotnie gromi tych, co się ważyli z powodu usterków i błędów zbytecznego mistycyzmu wynikłych z nieszczęsnej Towiańszczyzny, to prorocze dzieło, niestety, psujących, bluźnić i oślepnąć na jego całość niepożyta. Podobni zaiste do tych, co z Mefistofeilesem Goetego odrzekają uczniowi:

*Wo ein Begriff? fehlen,*

*Dort stellt ein Wort zur rechtem Zeit sich ein.*

Tu podziwia autor, do jakiego stopnia duch germański posunął sztukę urągania własnym ułomnościom i zmierza ku końcowi pierwszej części, konstatuując tekstem biblijnym, że mądrość wszystkich wieków niewahała się przyznać, że wszystko, co się stało, przez słowo się stało — a słowo ciałem, czynem!!!

Część wtóra. Uczucie a ton. Raczej psychiczno-estetyczną ma cechę. Genialnie pojęta, zwrotnikowa — że tak rzekę — sporność myśli od uczucia. „Uczucie (o ile myśl słowem wyrazić musisz) o tyle ono z przyrodzenia nieme jest. Ledwo okrzykiem lub westchnieniem pochwycone, o ile zaś nieme, o tyle na wszelkie słowo głuche. Bo uczucie głuche na wszelkie wyrażenie rwie się natychmiast do wyrażenia. Wyrazem polskim ton oznaczył Mickiewicz tę drogę w prelekcjach. Jak wyżej słowo myśli tak tu uczuciu ton odpowiada. Nic trafniejszego! Nie jest-li muzyka wysłowieniem niewypowiedzialnych uczuć i rzeczy?...

Myśl oderwana z oderwanem słowem nic wspólnego nie mają. Człowiekowi pogrążonemu w boleści przyniesiesz więcej ulgi uściśnieniem dłoni, łąką bratnią, niż potokiem słów najwymowniejszych. Przeciwnie, matematyk wysłuchawszy najcudniejszej symfonji Bethovena, spytałby się: Czegoż to dowodzi? — Wiele dowodzi — kończy autor — tego, że choć niema związku między abstrakcją myśli a oderwanym tonem, to jednak duch jest ten sam i jeden zawsze i wszędzie.“ Tu analogia między matematyką a muzyką, na dawnych greckich zapatrywaniach



oparta, od Pitagorasa począwszy w edukacji młodzieży razem klasyfikowana. Następuje rozbiór tonu, mowy, czyli stylu i rzecz o formie zewnętrznej a jej ważności.

O nastroju ducha narodów w formie ich muzyki rodzinnej, z nieocenionem poczuciem mówi autor. Kończymy jego złotoustą konkluzją:

„A jeśli po wszystkie wieki, począwszy od Jubalowych i Orfeicznych pierwiastków aż do dzisiejszych, ledwie zawiązujących się, ale przyszłości pełnych Orfeonów, służba Boża i wychowanie ludzkie świadczą ustawicznie za szlachetną serca i umysłu piastunką; czegoż sobie po jej doświadczonej mistrzostwie, na korzyść opatrniej niż dotąd wychowanych pokoleń rachować nie możemy, skoro nastające wieki stokroć silniej od ubiegłych sprzyjać zaczną jej religijno-cywilizacyjnemu powołaniu? Jak one wieki harmonji chciwe a rozterkom wrogie, więcej niż ktokolwiek po muzyce wymagać będą miały prawo a nawet potrzebę, tak nawzajem, ona więcej niż kiedykolwiek pomagać będzie miała obowiązek, a domagać — siłę. Społecznie odtąd i pedagogicznie uprawiana, już nie za zbytek, ale za jedną z wzniosłych potrzeb i sprężyn duchowego życia poczytana, żywotnem też przekona nas doświadczeniem, jak dalece ją na to staje, by ducha nietylko chwilowo unosić, ale i statecznie podnosić; jak słusznie przeto osobliwą między sztukami wniebodażność objawiając, we wszelkich liturgiach rej zawždy wodziła. A tak wywiódłszy się z pochodzenia i przeznaczenia swego, już nietylko wrodzonym sobie powabem, ani też instynktowem wszechludów upodobaniem, ale historycznem na chwałę Bożą poświęceniem i ustawiczną na wspólne obyczaje działalnością, rozwiąże nam ta córa niebios zagadkę własnej potęgi — i zrozumiemy dlaczego była zawždy i wszędy człowiekowi tak miłą, skoro go już dobrowolnie i mimowolnie do miłości zaprawiała...“

Zaiste, inne nieco dążności niż np. w broszurze: „O sztuce polskiej“, o której zamilczeć wolimy, bo jej dały odprawę „pędzle“ Matejki i Grotgera.

Następnie zwraca autor uwagę na rzemiosła i kunszta, na przemysł i stosunek jego do sztuki. Trafnie wykazuje, jak i o ile przyczyniły się do wyzwolenia ducha ludzkiego. Jednak i całą grozę niebezpieczeństwa wskazuje tym, coby chwilową ułudą materializmu porwani, upatrzyli w tych rezultatach cele a nie środki ludzkości do celu wiodące, zabywszy głównych i świętych jej celów.

Przemysł podniesiony przez autora do praw obywatelstwa, wielkiej wagi i ekonomicznie jako umiejętność traktowany, jako jedna z arterji społecznych zbadany, z drugiej strony ujęty w karby jako środek służący celowi, jako jeden z taranów torujących drogi ducha. Tu z właściwym sobie darem pogodnego i spokojnego na świat poglądu, uspokaja ducha tych wszystkich, co są tak skorzy trwożyć się zawrotem i przewrotem świata, że

często nie baczą drogi własnej, którzy twierdzą, że materja zwyciężyła, że drogi ducha puste i odłogiem leżące, daremnemi pozostaną, przeto że wynalazki chwilowo wzięły górę, że mają to, co sobie trudem i pracą chwalebnie zdobyły, którzy wołają, że oko Opatrzności kataraktę cierpi, nie czując w własnym sangwinizmie jak ręka olbrzymia i żelazna konieczności prawdziwej dzierży wszechstronnie nitki naszych losów narodowych, społecznych i człowieczych. Tak więc z pod białego portyku w błękity przyszłości pogląda z pokojem genialnym, z platońską zaprawdę dialektyką, o tyle cieplejszą od arystotelicznych formułek, zda się z miłością na pozór nieco optymistyczną, bo bardzo szlachetną poglądać w wieki przyszłe, kiedy materja do równowagi się ukołysze, czynnikiem ducha dzielnym i chrobrym, nie tem, za co ją sprzedają z pychą obmierzłą dzisiejsi materjaliści, a ducha wsparłszy jak Centaura jej grzbietem wzmocnionego, tem silniej dążyć mogącego do celów nieskończoności — ztąd też skonstatowanie stanowiska przemysłowca i umysłowca — obaj mają swe ważne uprawnienia i działalności.

Postęp techniczny niezbędnym jest do postępu sztuki, sztuka zaś główną jego dźwignią — dlatego głupim byłby przemysłowiec urągający umysłowcowi i sądzący, że świat zawojował, a równie politowania godzien umysłowiec, z politowaniem poglądający na przemysłowca, jako takiego, z pewną arystokracją ducha.

Nie prawdziwszego. — Kto był w Niemczech i widział niedogryzka abstrakcji idealno-panteistycznych z jednej, a kupca wjeżdżającego na jarmark w tryumfie do Lipska z drugiej strony, przeświadczy się o pełni tej prawdy. Wspólnemi więc siłami do wspólnych celów postępować należy, każdemu w swoim zawodzie, czy czynnikiem ważnego mrowiska ludzkiego, czy na orlich wyżynach wielkich powołań.

Tu zastrzega się autor przeciw nowotnym zasadom teorii sztuki, celem sobie będącej, nie przeczy, że one sobie są wszystkim i wszystkim w sobie, a przeto już z zasady się wypełniają, bo sztuka acz nie będzie nigdy służebnicą żadnej idei, wszystkie idee wielkie w siebie pochłania i walczy w imieniu każdej szlachetnej gotowa swym mieczem piorunowym, a karleje dopiero wtedy, gdy schodzi do kosmopolitycznego wyjątkowo użycia, do epikureizmu piękności. Zasady jej wypełniają się w sobie — motywuje to autor w sposób arcy-oryginalny, charakteryzujący świeżość myśli słowiańskiej, w obec zużycia germańskiej. Oto powiada: „Wszakże już duch jednostkowy, podmiotowy jakim jest każdy człowiek w społeczeństwie, skoro prawem nieśmiertelnego ducha stanowi *sui juris* osobę nie zas żadną *alieni juris*, jeżeli jest sam w sobie i przez siebie celem, którego nikomu ani za środek uważać, ani wyzyskiwać nie wolno, a przecież nieskończonemu uprawnieniu temu bynajmniej sam nie ubliża, owszem, w duchowem dostojenstwie sam jedno wzra-



sta, im się więcej sam z siebie bratnim duchom udziela, (Rozdawaj siebie samego twej braci. Resurrecturis Krasińskiego.) im się lepiej i szlachetniej zbiorowym, zwłaszcza osobistościom rodu, narodu, ludzkości poświęca, słowem im dzielniej i potężniej z własnej woli służy społeczności ducha (comunitati spiritus). Dalej rzecze, że wspólną konfederacją sztuk z nauką, bez podtrzymania z nich jednej, jak np. teologii w średnich wiekach, dojrzeć mogą w skonfederowaną rzeczpospolitą. Rozważa dalej, jak i o ile scholastyka nawet w genezie ducha potrzebną była (?) jako hartująca w karbach tradycji duch ludzki, a to z stanowiska nie teokratycznego ale iście religijnego.

Szkołą ducha ludzkości jest, jako tenże od reformatorskich zachcianek idzie aż do Karteziuszowskiego „Cogito ergo sum.“ Wyjściem z niej jest to rozsadzanie scholastycznej skorupy, tak zwana epoka odrodzenia *renaissance!*

„Tam ci jest duch, a gdzie duch, tam wolność“ do Cor. III. 17). Tu następuje określenie i pojęcie wolności. Prawo jej bytu i celów, paralella między nią a swawolą i sporność a walka z niewolą. Zatem wolność byłaby zrównoważeniem jednej a drugiej, czyli tryumfem woli „nad samą sobą“. Tę myśl spotykamy z radością jako potwierdzenie tego, co nam się zawsze marzyło. Niegdyś już uplastycznioną ona została przez autora Ojciec nasza w słowach pięknych: „Ani pod sromotny znak niewoli, ani pod splugawioną czapkę swawoli nie poddasz pogodnego czoła“. — Dziś przez ironję ironji poddawać je, stało się modą pod splugawioną czapkę błazeństwa, która trefnieniem wydwarza wszystko dawniej czczone i sama siebie plugawi.

Dalej zwraca autor dowodami poparty przeciw abstrakcjom filozofii niemieckiej, przeciw zasadzie sztuki dla sztuki, a kapłańskie powołanie ducha ukazuje dobitnie w Psalmach przyszłości i Odzie do młodości, mieni je pasmem proroczych głosów i począwszy od Niedokończego poematu, do Dziadów, jasno przestrzeniom ducha przewodniczącym Przedświtem. Tak tylko w tem miejscu doliczyliśmy jako łącznik filozofij z poezją, jako księgę pośredniczącą między pojęciami doczesnych a wiecznych rzeczy. Ojciec nasz, niestety, niedopełniony w swej całości i obok dzieł Trentowskiego, jedyny pokładowy kamień gmachu filozofii rodzinnej naszej a cały jej zarys stanowiący...

O życie społeczne ludów — woła dalej — nie o teorje abstrakcyjne chodzi tym głosem, domagającym się jasnej przyszłości ludów, im siebie poświęca prorok i woła:

„Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje!“ i właśnie tem je unieśmiertelnił. Podobnie sztuka i nauka w życie społecznie przejść musi, wsiąknąć w jego pory i motywuje to podobnie jak wyżej mówiąc, że jakkolwiek dążenie ku temu choć jest powołaniem i celem a nie środkiem jakiejś teorji, jednak nie jest abstrakcją nauki dla nauki. To nowe światło teorji, mających stać się praktyką światów słowiańskich, wróży autor.

Tak bez wątpienia, bo wypełnił się pod tym względem duch germański i romański, świeżo schłostany nemezą dziejową. Duch słowiański ma przeto uprawiać to trzecie pole woli, czynu i wolności, jak dotąd pole myśli i uczucia uprawiał.

Tu nastaje rzecz o narodowości, tej arce przymierza ludów i o potwornem znamieniu, jakim piętnuje swego odszczepieńca, zdrajcę ojczyzny — dalej o współnictwie i zaślubinach narodów, których ideał podały nasze dzieje.

Wsparty o biblję, zatacza ku końcu poglądy swoje prawdy i mądrości, orzeźwiające, na spalone umysły obecnego położenia Syzyfów; kończy je z rodzajem natchnionej ekstazy, jakoby z wielkiej góry rzewnie na wędrwę przyszłych pokoleń ku ideałowi poglądał — podobnie jak Frycz Modrzewski w natchnieniu dośpiewał swe pomysły O Poprawie Rzeczypospolitej, podobnie jak Konarski z ogniem zawiera swe dzieło 'O skutecznem rad sposobie', tak Cieszkowski o poprawie dróg ducha, a wskutek tego o poprawie życia jednostki i spólnem dążeniu do Rzeczypospolitej społecznej, której część niepospolitą ogłosił, kończy. Nie posiadamy zmysłu krytycznego, ani się on kusimy, wymknął nam się okrzyk zapalu pod wrażeniem tej formy i treści, o której i innym powiedzieć mieliśmy ponętę.

Ależ nie o tem miała być mowa. Oto noc na statku mija, przestrzenie błękitów jaśnieją, nikną gwiazdy, a pierwsze promienie Heljosa już ozłacają wychodzące z mórz brzegi Sycylii — zrazu błękitne, potem zielone, szare, wreszcie dziko-skaliste i majestatycznie spiętrzone, zbliżają się ku nam, rosna szybko i olbrzymieją. Im podobnie ludzie nieraz zdaleka, zdają nam się niebiańsko błękitni, bliżej nieco zieloni, jeszcze bliżej szarzy, wreszcie skaliści, stromi i szorstcy, byle nie karłowaci. Jakichże losów nie przebywałaś w ciągu wieków, syta przygód Sycyljo!

Jak każdy kraj piękny, żyzny a wdzięczny, bywałaś ofiarą a łupem postronnych sępów. Jak Grecja, jak reszta Italji, jak Hiszpania, jak Polska nieustających walk byłaś polem. Starożytność Sycylii, sięga czasów bajecznych, cudowne myty zapełniają te dziewiczą ustron, której natura jakby nietknięta ludzką ręką i niesprofanowana, tak bujnie się rozwinęła. O ile z pewnych danych wniesć można, Grecy pierwsi zapanowali nad wyspą założeniem swych osad. Przeważnie na południu rozciągały się Helleńskie osady, niezawisłe od miejscowych Sykulów zwyciężkich nad Hiszpanami. Metropolją ich stała się Syrakuza w V. wieku przed Chryst. Tyranowie Syrakuzańscy w tej epoce władają całą prawie wyspą, przemysł, sztuki zakwitają, imiona poetów Hesichora i Dyonizjusza II. pamiętnego Empedoklesa pseudofilozofa i Epicharma komika syrakuzańskiego teatru. są zaszczytem tej epoki. Przebywa tam i Plato pewną epokę życia, W tymże czasie i sztuka plastyczna powstała, ztąd datują jej



nieszczęsne a piękne okruchy w Palermitańskim muzeum przechowane. Następnie Sycylja staje się kotem rozdartym przez Kartaginę a Romy, sceną wojen punickich, prowincją rzymską a szpichlerzem Italji i Europy. Z runięciem światowładnego państwa, zdobywają ją Goci wschodni, którym (536) wydzierają Belizarjusz. Niedołężne i okrutne rządy Bizanckiego państwa pękającego w gruzy zwabiają ku uroczej wyspie Arabów.

Syrakuza pada, Palermo stolicą Emira. Po spoczynku i latach niewoli, Roger z Normandji szeregiem czynów bohaterskich osobną stanowiących epopeję, opanowuje wyspę. Po przejściu czasów, dziedziczy ją korona Hohenstaufów, pada głowa dziecinna Konradina (1268), dom Andegaweński stawia krwawą stopę na tułubie narodu, a wszystko kończy się łuną krwawą niesporów sycylijskich, od której blednie i umilka Etna, lud pokonywa tyranów francuzkich, by uleż nieszczęsny, hiszpańskim. Nie lepsze dalsze jego koleje. Dopiero jedność Włoch od 1848 i 1856 r. przyniosła więcej pomyślności na pastwę słońca i wulkanów wydanym, a wulkanicznym mieszkańcom, którzy jeszcze dwa lata temu pokusili się o republikancką ruchawkę. I godne uwagi, że każdy prawie ruch polityczny we Włoszech wychodzi z Sycylji. Sycylja, ten szpichlerz dawniej Europy, stanowi epilog Włoch, bez niej Włoch nie ma, ona według prawdziwych słów Goethego, jest ich kluczem, tam dopiero kończy się życie włoskie. Najpiękniejsza rzecz w Sycylji, to bujność jej dziewiczej, namiętnej natury. Wegatacja ta, gdzieindziej nieznana, ma coś wschodniego, ale przytem barwy tak potężne, zieloność tak żywa i złota, tak silnie sprzeciwiająca się błękitom morza i nieba, horyzonty o tle złotem, falujące barwy tak jaszczurczemi, błyszczące złotem owocami i krasą winnic, runami śnieżnych trzód, — wonie pomarańczowych i mirtowych gajów tak upajająco miotane w błękitnym eterze, wzgórza dzikie kaktusów i aloesów na czarnych, skalistych opokach, tak bezczelnie w gorący błękit najeżone i rozpedzone ramion milionem, łany zbóż taką falą wiejące, i drzewa tak ugięte pod ciężarem Pomony, winnice takie krasne owocem Marsali, że upojone oko nie odnajdzie kędy indziej tych wdzięków. Raz tylko, spuszczać się ku morzu w Hiszpanji, w okolicach Malagi, mającej już afrykański charakter, miałem podobne wrażenie, choć nie tak piękne; bo w motyle barwy mniej bogate. Pierwszy rzut oka na wyspę, a głównie na Palermo nie odpowiada oczekiwaniu. Szarość skał i brak harmonji w linjach natury, konturach i zarysach to sprawia, ztąd pewne ubóstwo piękności, które czuć daje, że mimo wszystkiego Neapol zawsze pozostanie Neapolem; że on jak Apollo natury w harmonji boskiej, z helleńska uśmiechnięty, zawsze pierwszym pozostanie. Na pierwszy rzut oka, jak dwie kulisy ujmujące Palermo, wychodzą z morza dwa skaliste potwory o mamutowych kształtach, jeden to sławny Monte Pellegrino z grota św. Rozalji patronki miasta, dźwigający jej z dali błyszczący posąg, zdaleka,

zdający się być boromejskich rozmiarów, drugi, przyładek Zaffarano, wybiegający w daleką dal nad smugi morza i osadzony raptem nad głębią ostrą pierśią, niby miecz z kła nosorożca zatknięty olbrzymio, pierś jego ostra i szorstka prześlicznie przecina jednostajności fal i nieba. W pośrodku tych kulis czworobok śnieżnych domostw, nad niemi parę wieżyc i kopuł, to Palermo, na które tak czekało oko. Frzy odjeździe niknąc, daleko piękniej wygląda przepadając w toniach, niż z nich się wyłaniając. Ulice miasta szerokie i regularne, ozdobione suchotniczemi posągami hiszpańskich Filipów, z pięknego bronzu połyskującego z koryncka; dzieli się miasto na cztery dzielnice, główna arterja Toledo, czyli Corso, smutnie przypomina Toledo neapolitańskie, Corso rzymskie, dla mnie pierwszą i ostatnią z ulic świata. Rzut oka jednak od początku... aż do morza jest jedyny w swym rodzaju i bardzo imponujący. Główna oryginalność, to pewna cecha maurytańska tu i tam, choć słabiuchno się odzywająca, która urozmaica jednostajność domów i przeważne barocco, ale barocco włoskie, więc czasem znośniejsze. Do pałaców przytulone świeże ogrody, wiejące palmami i warkoczami wierzb babilońskich w źródła w marmurowe pierścienie ujęte melancholicznie zapatrzonych, ożywione ruchem śnieżnych gołębi i pstrych motyli.

Życie dopiero wieczorem się ożywia, według przysłowia tylko psa lub Anglika w południe spotkać można; wieczorem na Corso piękne Włoszki z pod kwefów czarnych i motylich wachlarzów wabią cię wdziękiem prostoty tak ujmującej a nadającej się do idealizowania, że pojmiesz jakim sposobem na tej ziemi powstał typ madonny Rafaela, tak jak gdzieindziej drugi i ostatni typ madonny Murilla. Palermo dzieliło losy Sycylii; wzniosło się kosztem Syrakuzy za Normandów. Plac czterech kantonów, jak cztery pałace stanowiący, o czterech studniach i czterma ramionami ulic równo ku morzu w krzyż goniący, jest jedną z ciekawości świata; dalej ku końco Corso, jedyny w swym rodzaju klasztor, z olbrzymiej masy granitu o Eskurjalskiej tradycji, z oknami zakratowanemi, lecz wolno otwartemi balkonami, na ulicę dającemi widok, z tych okien wyjątkowe pozwolenie mają zakonnice patrzeć na gwar świata, którego się wyrzekły, ich białe zakwefione postacie widne tam jak lilje wychylone po za mur ogrodowy, zdające się z smutkiem, może tęsknotą, oglądać ku dołowi — co za sporność! Najniesmaczniejszą z wspaniałych katedr jakie znam, wydała mi się palermitańska: miksura gotycyzmu z maurytanizmem, ale tak dziwacznie i z niesmakiem zespolonych mimo pięknych szczegółów, że całość staje się tylko parodią majestatycznej katedry w Toledo lub cudownej Giraldy sewińskiej. Ta cała zaś mieszanina pokryta kopułą melonowatą a la Bernini, której odpowiadają poniżej małe kopułki także, krągłe, na gotyckich ścianach katedry osadzone. Wnętrze przedstawia czysty piękny renaissance, ale wybielony kasarniano, tęczowe łuki perespektywicznie piękne wspierają się



na przepysznych kolumnach z zielonego marmuru zrabowanych z świątyni Junony Syrakuzkańskiej. W kaplicach wspaniałe sarkofagi Rogera II. jego córki Konstancji i poetycznej pamięci cesarza Fryderyka II. († 1250). W r. 1781, znaleziono prawie niezmięcone, z całym majestatem śmierci uspięte ciało cesarza w cesarskim litym ornacie. Reszta kościołów mniej ciekawa, kościół s. Maria dello Spasimo, posiadał obraz Rafaela Spasimo, który tak dziwne przeszedł koleje, i wyrzucony przez morze w pół pęknięty dostał się do Madrytu, gdzie go uwielbiałem. Grota św. Rozalji, ukochanej patronki Sycyljanów, wznosi się na Monte Pellegrino nad morzem, jest to ich Częstochowa, o stalaktytowem sklepieniu i rzucie oka na przestworza natury. Zamek królewski, to gniazdo orle Rogera, atmosferą bohaterską przepelnione, maurytańskimi szczątki wdzięczne, a wstrząśnieniami czasu zniszczone prawie zupełnie. Muzeum nie liczne ale arcyważne, szczątki to z świątyni greckich Girgenti i Selimuntu, metopy o rysunku i plastyce świetnej epoki, odznacza się wśród nich Pallas zalecająca wojownika, Diana karząca Akteona, a nadewszystko zwycięstwo Heraklowe nad Penteseleą i jedno przepyszne torso. Obrazy głównie szkoły neapolitańskiej. Miejsce najgodniejsze pielgrzymki, to po nad Palermo na wesołym wzgórzu zawisnięte Monreale, wycieczka parogodzinna, jedna z najbardziej uroczych jakie odbyć można. Zwolna szerokim, wystawami upstrzonym Corso i placem katedry mija się Palermo, jego fontanny, posągi, place i ogrody, nieznacznie a szybko wznosi się gościniec w górę; po drodze domki wieśniaków i kapliczki cudotwórcze tak zbudowane, że są studzienkami, zbudowanymi w kształt kwadratowych wieżyczek, z których szczytów po murze sączy się woda. Ruch gościńca ciągły i żwawy, postacie jaskrawe w tumanie złotego kurzu mrowiące się z gestem i wrzawą. Wózki żółte dwukołowe, zupełnie do kibitek podobne, ciągną kupy nasypanych w nie ludzie lub rzeczy. Dziwna! ten sam kształt wózka przelatującego błyskawiczną komunikacją w ostatecznych krańcach północy i tu w afrykańskim upale.

Kibitka ta jest dziełem fantazji ludowej, od kół do dyszla pomalowana, na złotym tle po czterech ścianach skrzyni siedzeniem będącej, scenami z historii świętej, wskrzeszenia, uzdrowienia, uwolnienia opętanych, świętą Rozalję cudotwórczą, ewangelistów i t. d. przedstawiających. Każdy kawałeczek wózka, bodaj główeczką Anzoletta zamalowany, dwa jego żółte koła lecą szybko a ciągnie jeden osioł, którego tualeta nie ma równej sobie. Cały w uprząży błyszczącej blaszkami, upstrzony w piórka cudaczne, u czoła trzy lisie kity a chomont jak gotycka wieżyca, u szczytu jego zwierciadełko wśród dzwoneczków a nad niem madonna con babino! jakże pyszni się ten osioł! żaden tytuł tak nie uwydatnia! Wystawcie sobie całość tego ekwipażu wyładowanego nieraz piętnastu osobami, ciągle krzyjących,

gestykulujących, czubiących się serdecznie, a jeśli z góry rozpedzony osioł nosem zaryje, pudło dwukołowe zwraca się dnem do góry i tuzin głów przechylonych ku ziemi, alterum tantum nóg i nóżek bijących w powietrzu. Wózek ten świadczy, że lud ten jest poetą, ale o wybujałej, kaktusowej fantazji, gorącym słońcem wypiaastowanej, bez kierunku i miary. Ta poetyczność ludu przypomniała mi, jak raz jadąc z pewnym nowo utylitarnym Galicjaninem, nasłuchiwałem się jego utyskiwań nad grzeszną skłonnością Polaków do poezji, która z nich robi Indjan i parjasów społecznych i nie wiem już nie co. Exempli gratia. Opowiedział mi bez gracji, jako naftą wzbogacony włościanin z Borysławia, z poblizkiego miasta aż do domu, kazał idąc pieszo, iść przed sobą muzyce, za którą postępując trzymał w ręku lusterko, w które patrzył i tak sobie gościńcem tańcował pod dobrą datą aż do wsi. „Proszę pana, cóż to za różnica od kolonisty niemieckiego, który jeśli się wzbogaci, jakżeż inaczej swych dochodów używa! U nas nie ma rady, taki on szelma poeta!“ Zaczny obserwator mógłby i w Sycylji podobnie poezją kwalifikować. Wszędzie po drodze gwar i śmiech, po chatach tamborino i saltarello (tarantella), tu znów osioł objuczony piramidą głów kapuścianych kroczy powoli (czasami dzieje się odwrotnie, głowy kapuściane dźwigają osła), tam znów mały wózek jednym koniem ciągniony poganina bosa kobieta, o kruczonych opylonych warkoczach, z chustą na głowie kwadratową, za wózkiem idzie chłopczyna pięcioletni, który niby popycha go oburącz pod górę, wierzy zaś w całej naiwności, że to nie konia siła lecz jego popychanie posuwa naprzód wózek. O! szczęśliwy chłopczyno! ileż w życiu społecznym masz ludzi sobie podobnych. Jadąc dalej, jak cała morska płaszczyna podnosi się w górę jakby w mglistym powietrzu uwiśnięta, ozłocona tłami słońca wschodzącego ku jego głębinom, a po nad nią Monreale dziko rzucone wśród winnic, o białych domach i balkonach pełnych ciekawych główek. Największe wśród tej drogi wrażenie, to amfiteatralnie ku morzu rozłożona dolina — to słynna Concha dora, otaczająca Palermo, dla swej bujności tak zwana, wygląda na mały raj ziemski, prześcigający się w bujających gajach, sadach kwitnących, falistych łąkach, winnicach o zieloności malakitowej, nad którymi złoto-pomarańczowa łuna słoneczna sypie się namiętami tły i blaski bajecznymi! Bujność tej doliny, jej półkole pełne gracji i zaokrąglenia, dwojga nad morzem splecionym ramionom podobne. Tyle tam darów Flory i Pomony tyle miłości macierzyńskiej Cerery i Izydy, podającej pierś wezbraną ustom tysiąca dzieci, jak ona Caritas nieprzebranej miłości, tajemnic a miłosierdzia. Jednak wyznam, że mimo całego uroku doliny Concha dora, marzyłem tęsknie o dolinie Kowieńskiej i że wolę rzut oka z starej baszty Przemyskiej ruiny, dający na zupełnie podobnie zatoczoną dolinę Sanu, wijącego się w pięć załomów srebrzystym węzłem wśród wiklin słowicznych, może



przeto, że te łzawe wody i krwawe brzegi pamiętają nieśmiertelne dzieje nasze, a fala naszych zbóż majowych westchnieniem łanów pszennych powiewa od pól Przemyśla do pól Sandomierza!... Jam wspominał pamiętne i w duszy pozostałe widoki z zamków: Czorsztyna, Odrzykonja, Halicza, Kamieńca i Krzemieńca, Trębowli i Jazłowca, Wiśnicza, Melsztyna, Rożnowa i Wawelu, bom je wszystkie widział i zaklął wspomnieniem nim pociągnąłem ku innym.

Kościół w Monreale, jedyny w swym rodzaju, wielkie i niezapomniane sprawia wrażenie. Po zewnętrzności skromnej i prostej nikt nie przypuści wewnętrznego przepychu. Wrota główne spiżowe, rzeźbione przez Bonanusa z Pizy 1186 nie zachwycają tego, kto widział drzwi Ghibertych florenckie i Jowannich z Bolonij w Pizie (katedra), ale oprawa tych w łuk z maurytańska zatoczony w śnieżny marmur i mozaiki otoczony, pyszni się w słońcu jak tysiącem klejnotów i otwiera tą muzyką barw wejście do harmonji dalszych mozaik. Mozaiki są głównym skarbem tego zabytku. Nie dadzą się one przyćmić ani św. Zofji konstantynopolitańskiej, ani Rawennie w mozaiki nieprzebranej, a iście bardziej bizanckiej, niż dziś samo Bizancjum, ani nawet mozaiki pyszne św. Marka w Wenecji, jeśli w skutek rozwinięcia z czasem rysunku i kolorytu je wyprzedziły, to nie w ujęciu i przekazaniu bizanckiej tradycji i grozy miłościwej, w swej prostocie chwytającej ręką żelazną za serce. Groza ta Jehowiczna wprawdzie, a przytem wyraz miłości tak gwałtowny, ojcowsko surowy, tak artystycznie dokonany w olbrzymiej postaci Zbawiciela świata, siedzącego na złotem tle kopuły i patrzącego ku padołom ziemi, że wstrząsa człowiekiem i mimowolnie zgina kolana.

Wprawdzie to raczej Jehowa niż Emanuel! Ten sam Zbawiciel tak wytwórny w kopule św. Marka, acz podług kartonu Tyciana wykonany ręką mistrzowską, nie działa z taką przepotęgą — czemu? — bo znać w nim uśmiechnięty kwiat renesansu, bo odbiegł od tradycji pierwotnej, której niema wewnątrz, mimo tak świetnej zewnętrzności. Od tej kopuły rozchodzą się na litych tłach tysiące figur starego i nowego testamentu, w grupach poważnych i ruchomych, popiersie św. Jana duże wyszczególnia się nad jedną chrzcielnicą tymże wyrazem, tym mozaikom tylko właściwym i ikonom Łukaszowej tradycji i tu śledzić u źródła, jak ten duch grecki jeszcze w grubej „zdzieciniałej“ formie panujący światu, wylega pod kokoszem skrzydły swego ciepła takie dusze jak Cimabue, jak potem zrodził się Giotto i Giottino i całe ich pokolenie, przez Fra-Angelica, Massacia, Francię — idące aż do Rafała i Buonarrottego, jak w Rawennie, gdzie legł Dante, działa na jego poezją. — Kościół ten jest modlitwą kamienną, cześć i uniesienie ducha najpotężniej budzącą. Krzyk kamieni w tej ciszy olbrzymiej

zdaje się wołać grozą swych czasów: biada światu i koniec jego wróżyć. A działa raczej postrachem niż miłością, odstrachem złego niż zachętą dobrego, nie ten to słodki i miłościwy Jezus z katakomb rzymskich z jagnięciem u ramion, nie ten Fra-Angelica Pan miłościwy, gładzący niezgładzone. — Główny jednak cel mój to zabytki greckie Sycylii.

Koleją żelazną opuszczam Palermo. Wtedy dopiero można objąć cały wdzięk niewypowiedziany tej wyspy, gdy pociąg wąwozami zieloności wić się zaczyna po nad morzem, przepadając w lasach i tunelach, z których wylatuje ciągle, by nowe piękności odsłonić oku, im dalej się zagłębia w kraj, tem kraj piękniejszy, a rzut oka na nienackie skały Palermo nie do opisania. Kłosa już pełne i schylone kołyszą się polami, wąsate jęczmiona i wysokie żyta, klasyczne oliwy gonią w niebo, a choć początek kwietnia, na niebie sady oblepione pszczołobrzękim kwiatem, a łąki i gaje potrząśnięte dużymi koralami poziomek — ta droga przypomniła mi wyspę Korfu, królowę wysp całego świata, której nie dostoi Sycylja, tak jak jej oliwom szeroko-ramiennym, w kulisty konarów nieustannie inaczej krajobraz ujmującym, nie dotrzyma oliwka Sykulska. — W parę godzin kolej ustaje, zastąpiona fatalną pocztą, dla bezpieczeństwa eskortowaną przez półtora żołnierza o zbójckiej minie i czuprynie, który z gorliwości swej służby pieszym wędrowcom nie broni stawać na stopniach karety i tak sobie całymi milami ułatwiać drogę, aż dokąd ich droga nie zejdzie od gościńca. Na to odpowiadają zdziwionym podróżnym tonem naszych włościan: „taka wże ustanowa“ — podobnie rezonuje krowa, gdy wlezie do pszenicy. Dylizans ten piekielny, jest parodją hiszpańskiego, podobnie pędzi z góry i pod górę a wlecze się płasczyną, tylko że ostatnie mają tuzin mułów i trzech pocztylionów popędzających wymianianiem ich nazwisk lub miotaniem kamieni z kozła, kiedy z skóry sycylijskich biednych szkap mogących śmierci Roetla służyć za wierzchowca, pocztylioni zdają się już nosić gotowe buty.

Zawsze obecnym pozostanie mi obraz jaki ujrzałem obudzony się w powozie do świtu. Natura o zieloności bezbrzeżnej, spiętrzonych szaloną wegetacją pól i lasów, zorza różowa, krwawiąca się blado nad morzem, otulona tumanem mgieł srebrnych, wszędzie barwa natury majowa, uśmiechnięta, o kolorycie o jakim nie śniła cała szkoła Wenecka a nawet mistrz Bonifacio! Na skale urastającej hardą opoką wśród bujności rażącej aż oczy, pnąciami się po niej palmami i pinusami włoskimi, festonami wina, leży w ładnym nieładzie miasteczko Girgenti, nadająca sobie ni z tąd ni z owąd ton jakiegoś starego metropolu, tak złocą się w szafirach nieba jej domy z granitu o kolorze korkowym wzniesione, z tegoż granitu co świątynie greckie w Paestum i całej Sycylii —

Na szczęście miałem dobrych i miłych towarzyszy, pocieszających samotnego turystę i opiekujących się gościnnie, uprzej-



mych do przesady, że nie mogę tu przepomnieć imion waszych zacni Enoch Ferrugia, Carlo Morso, di Favarella, Ferdinando la Marca, Grillo Antonino i gubernatora Girgenti, entuzyasty muzycznego, któremu zawdzięczam dokładne zwiedzenie ruin. Dzień minął na spoczynku i zwiedzeniu miasta. Katedry główny przymiot wielka akustyczność, choć nie tak rozkoszna i zdumiewająca jak w baptysterjum Pizańskim i bawarskiej Walhalli; jest tamże jeden Guido Reni, nieco apokryficzny?... Za to po za miastem, gdzie samotną odprawiłem wędrówkę, prześlicznie rozłożone wzgórza, na jednym z nich stoi zamknięty oddawna kościół Karmelitański o wspaniałych schodach, jak klawisze dygocących, a z pod nich widne w ciemnych lukach, szkielety dobrodziejów i fundatorów spiących spokojnie w pąsowych adamaszkach; z góry widok na morze i grupy ruin na trzech pagórkach.

Dni tych było zjawisko rzadko postrzegane, chmury z niebios zniżyły się tak mocno, że srebrnymi runami pokładły się na morzu, które tylko gdzieniegdzie wyglądało jak błękitna oaza. Tuż obok studnia kamienna, ślicznie zbudowana z maurytańska, przy której gwar dziewcząt sprzeciwiał się szczebiotliwemu ptastwu w gałęziach chórem się kołyszącemu. Jedne czerpały wodę i niosły na ramionach i głowach w dużych dzbanach glinianych, urnom starym podobnych, inne prały, inne schodziły po wodę. Piękną jest taka postać przypominająca Rebekeę, z dzbanem na kruczych włosach, splecionych bujnym warkoczem, o ramionach zakasanych, szacie barwnej haftowanej, z kwiatkiem we włosach, „confuoco“ w oku podobnym do węgla niechącego dogorzeć, o dużych kulczykach a wolnym chodzie i wyniosłej postaci, gdy idzie w góry ku studni, z piosnką cichą, w złotej kurzawie zachodzącego słońca.... Od studni jechał na osiołku chłopczyzna nie miernie malowniczy, w neapolitańskiej płonącej czapeczce, a po bokach dwa olbrzymie snopy raczej wiązki koniczyny, rozkwitłej malinowo, wlokły się aż po ziemi — po chwili odwrócił się tak, że tylko jego plecy, tył osła i te dwie kwitnące wiązki w wolnym ruchu stanowiły gotowe studium dla akwarelisty. — Dalej nadjechał podróżny z waszecia, jakiś nobile, czy intelligent przygód świadomy.

Podróżuje się głównie konno i zbrojno dla bezpieczeństwa i myśliwskich rozrywek, samotrzeć lub samoczwór. Taki podróżny zwykle na dzielnym koniu, strzelba przez ramiona lub wszereż na siodle przed nim leżąca, kapelusz i płaszcz kalabryjski z gustem rzucony, para pistoletów i sakwa u siodła. — Dziwnie i pośredniowiecznemu uwydatniała się postać konna, jak ją daje zwykle Wuwerman, lub Lisowczyk Rembrandta, i tak zapewne jeździć musiał swego czasu syt przygód Cellini. — Zwolna jeździeć i koń znikli mi w złotej kurzawie. — Zstąpiłem nieco w dół, napotkałem cały las kaktusów tak rozmiłowanych w słońcu i rozpędzonych w błękit gorący, żem się dziwił ich gwałtownym kształtom, a nad nimi, dziwna! girlanda śnieżnych motyli drzała na tle szaffrowem się unosząc.

Drzące motyle, niewysłowionego wdzięku, niemogąc na kolcach kaktusów przysiąść ani chwili, unosiły się w powietrzu nad nimi, podobne poetom naszego wieku, unoszącym się nad kaktusowem społeczeństwem, niech będą mniej motylkowaci a zamiast kaktusów znajdą kwiat społeczeństwa, jeżeli zdołają je przetworzyć dziełami swemi. Ich wina. Niech go nie karmią ostrygami z brudnych kanałów społecznych, ani pianką belletrystyczną sentymentalnych kapryśków i koteryjnych mód, ale prawdą a pięknnością, której fale jak fale morza zawsze nowe, choć wrzekomo te same.... Kaktusy te nie społeczne, tylko te, o których mówiłem wyżej, były przedmiotem kamienowania przez chłopczyków miejscowych, rzucali tak celnie, że za każdym miotnięciem przedziurawiony stał liść łopuszysty kolczastego Goliata.

O świcie stał powóz gubernatora z dobrymi końmi, ruszyliśmy od Girgenti prześliczną, szeroką drogą w dół kręto wiodącą, morze i lasy italskich sosen, błękity nieba rozwieszony nad niemi... z godzinę szła droga, cudownie wiła się wśród aloesów, kaktusów (fiche d'India), willów i sadów migdałowych a oliwnych i drzewach o strączkach różkowych, chlebem święto — jańskim zwanych, rozłożystych i wspaniałych. Wśród drogi pojawiają się już w ziemi fundamenta ruin, zniszczonych zupełnie. Wreszcie wyjechawszy na wzgórze, ujrzałem nad morzem, wzniesioną świątynię Concordia o dwudziestu kilku kolumnach rytmicznie pięknych, doryckich, po nad morzem uniesionych w lekkiej gazie srebrnego obłoczku, który zdawał się z sobą je unosić. Na przeciwnem wzgórzu świątynia Iuno Lucina, jeszcze wspanialsza Jowisza Olimpijskiego (giove Olimpico), ostatnia, o czem niżej, najciekawsza. Wszystkie te świątynie czysto doryckiego stylu, zatem najlepszej epoki, zachowały pierwowzór Partenonu i należą do najwspanialszych zabytków greckiego budownictwa. — Celle, belkowania, tryglif, metopy, runęły dawno, ale kolumny harmonją swoją świadczą o całości, którą łatwo odbudować. Przeważnie z żółtego ciosu, nieco bursztynowego w słońcu a korkowej barwy w cieniu, cios ten czasem i słotą jak gąbka zdziurawiony, i to cała różnica między niemi a marmurowo-świeżym Partenonem. Jednak temu granitowi żółtemu mają te świątynie zawdzięczyć swe istnienie, bo nie łakomiły się nań Wandale jak na marmur pantelikoński. Poniżej leżą obalone ściany katakomb, w których niszach stawiano urny z popiołami, dziś gniazda jaskółek i dzikich turkawek, odzywających się w ciszy wieków. Świątynia Iuno Lucina, równie dorycka, o przeszło dwudziestu kolumnach zachowanych, stukiem pociągniętych, czella i komora ofiarna w części zachowana, W niej to mieścił się sławny obraz Zeuxisa na cześć Iunony przesłany, Dalej świątynia Jowisza (Zeus Olimpikos) największa w Sycylji, olbrzymia, ale cała rozsypana w gruzach, potrzaskanych jakby umyślnie. Ta świątynia zdaje się przez Pelazgów zaczęta, a później drugi raz wzniesiona i zniweczona strasznem trzęsieniem ziemi. Spodnie pokłady



z brył kwadratowych wielkich, takim że sposobom jak gruzy Micenów spojone sekretem Pelazgów, w jednej pozostałej wydrążonej kolumnie człowiek mieszkać może, o bajecznym rozmiarze świadczą dwie zgruchotane przy sobie upadłe kariatydy, niewątpliwie egipską tradycją świadczące, wielkość ich cztery razy dłuższa od kształtu człowieka, a wyraz surowego dłu. a jak kolosy Etiopów o dziecinnym choć zbolałym wyrazie Heloty. Piętno to najoczewitsze cywilizacji egipskiej, przeniesionej w pierwotnych wiekach do Grecji. Kształty tych Atlantów w kilku miejscach pęknięte na olbrzymie odłamy. Brak reszty jest zagadkowy, wszelkie hipotezy uczonych nie zaspakajają, wyglądają te olbrzymy jakby zaczęte a nie dokończone do przyszłego gmachu, który runął, bo gdzieżby wreszcie znikły inne? Czyż tak bez śladu niknie wszystko w czasie jak owe dwieście kolumn Jowisza Olimpijskiego w Atenach, które powłókł Sulla do Rzymu, tak że ich zostało jedenaście.

Świątynia Eskulapa tak zniszczona, że nic prawie o niej rzec nie można. Dalej trzy kolumny pięknie zachowane z świątyni Kastora i Polluksa, z belkowaniem ocalonem. Wreszcie czworobok regularny na czterech kolumnach jońskich wsparty, grobowcem Feroną zwany, około r. 471 przed Chrystusem wzniesiony, mniej szczęśliwie przypomina wieżę wiatrów Ateńską i pomnik choreograficzny Lisikratesa, także Diogenową latarnią przezwaną. Jest jeszcze kościół San Biaggio, przerobiony z starej świątyni Minerwy. Jakże długie a niezapomniane godziny przebyłem w świątyni Iuno Lucina! Jak sokole gniazdo zawisła nad morzem, dziś niebo jest sklepieniem nad sterczącymi jej doryckimi ramionami a w ciszy tej szemrają kwiaty i zioła na mchu wieków porośłe, jednostajny świst konika polnego tęsknie rozlega się w skwarze słonecznym i złote jaszczurki pełzną pełne humoru od głazu do głazu — to przybytek sztuki, religji — człowieka!!

Niżej szumi pełna fala morza gubiącego się w liniach dalekich jak nieskończoność.... łagodnych jak melodia... śnieżny maszt sunie samotny, jak człowiek sam ciszą i burzą życia wędrujący.

Na jednej z gruchotanych kolumn spoczywając, wspominałem Hellady boskiej zabytki, tu epilogiem dośpiewane gruzy Partenonu i Erechteionu Akrokoryntu, Eleusis, Scali Salony, Delfów, Nemei i Megary, szczyty Parnasu, Helikonu, Kyteronu, i Maratonu pola i Termopyłów wąwozy.... i wieki sunęły mi się przed okiem ducha — i ujście ich w nieskończoności, a przed jej wroty olbrzymi znak zapytania, ten stróż u wrót prawdy i sprawiedliwości!.. Tymczasem towarzysz mój chodząc swobodnie po gruzach, niechając przerywać mej zadumy a jednak przypomnieć życie i czas powrotu, zanucił cicho piosenkę hiszpańską, którą sobie zapisałem, echo niesło z dziwną ironią te wyrazy, pełne miłości, w przepaści czasu.

Io t'amo Nina mia  
 Io t'amo tanto  
 Que si tu fueras cielo  
 Io fuero sante!...  
 T'amo mas que ma vida  
 T'amo mas que mis ojos  
 I, si non fuera peccado  
 T'ameria mas qu'a Dios.

Przy odgłosie tej piosenki opuściłem ruiny i zszedłem do powozu, który mnie odwiózł do portu, gdzie już dymił parowiec. Kilku towarzyszy, którzy mi dowiedli, jakiego zapalu Włoch jest zdolny w obec sztuki, mianowicie harmonji tonów, odwiodło mnie łódką na okręt. Żegnaliśmy się jeszcze, gdy statek ruszał, wiewając ku sobie chustkami, zapewne na całe życie\*) — łódka ich nikła jak punkt czarny, wreszcie w pianach przepadła — oby ich niosła mile i pomyślnie usque ad finem... Czałami błogosławieństwo samotnego pielgrzyma, co nic nie ma do stracenia, spełnia się na tych, za którymi posłane, jak garść ziarna rzucona na wiatry, co je niosą ku ziemi. Dzielnymi brzegi Sycylji, potem pełniejszym morzem, nocą i porankiem płynął statek ku Syrakuzie. Wyspa smutna i dzika, wdowia po dawnej chwale. Niegdyś potężna łącznia dwóch części świata, dziś podupadła szczyci się tylko ruiną! — Co się ostalo z zapasów z Kartaginą, Hamilkarem i Rzymianami, Goty i Arabami, to doniszczyło trzęsienie ziemi. Najwspanialszy z tych zabytków, to teatr w ruinie, jeszcze nad wszelkie oczekiwanie świetny i wspaniały. Sześćdziesiąt rzędów siedzeń mieściło 80 000 widzów, największy to teatr świata starożytnego, siedzenia jego kute w skale lub murowane. — Coloseum rzymskie szczenięciem ssać by mogło jego biodra, naśladowanie jego czuć w rzymskich teatro Marcello i teatro Pompejo, ale na rzymski sposób. — Scena ku morzu zwrócona, widz zaś odwracając od niej oko, ma widok roztoczony na cudne wzgórza i doliny. Mamut to przeszłości, dziś kudłaty narościami zielonemi natury, co otula i wieńczy macierzyńsko zmarszczki jego czoła, pisane wiekami, a z tej sceny najwspanialszej widać jednego jeszcze aktora — staczającą się w morze miedzianą tarcz słońca i powstającą na nowo! Wśród miasta wyspy połączonej mostem ze stałym lądem, stoją gruzy doryckie świątyni Artemis, kolumny jej najciaśniejszym ze znanych porządków stawione; na jednej przytarty napis: τὸ πέλουι, oznaczający dary niesione Appollinowi. Trzecim miejscem w Sycylji o gruzach świątyni greckich jest Selimunt. Posiada ich siedem — wszystkie zniszczone do szczętu od trzęsienia ziemi, czołem w proch odwieczny zaryły. Z nowu z pomocą,

\*) Jeden z nich odwiedził mnie potem w domu.



pary przebyłem Katanię i Messynę, której pędzel Clauda Lorraina nazbyt pochlebił. O ile cudna i bogata część palermitańska, o tyle wstrętem przepelniła mnie Kalabria — szaro skalista, przepelniona lawą przyrosłą do ziemi i niweczającą roślinność, natura wszędzie logiczna podała ją mieszkańcom do budowania czarnych domostw, jak sadzą okopconych, pełno wygasłych wulkanów, odrostków Etny, okolica jednostajna, ludzie niechlujni i zerkający bokiem, rozboje i zabójstwa zbyt epidemiczne, często z nędzy, częściej z dyletanterji, lubiącej dolce farniente i makaroni same lecące do gąbki; po nad tem Etna, protoplasta wulkanów, którą mają za wygasłą a widok z niej na morze jeden z pierwszych na ziemi. Podobno o Wezuwiuszu mówiono, że wygasł, pali się on naprzeciw swej macierzy, podobnie o narodach mówią że wygasły, a jednak nie gasną one, jeżeli je budzi nie-szczęście, i tak zerwie się i wróci do życia lud francuzki pokarany za Polskę ...

Od Messyny raz jeszcze trza było okrętem płynąć ku Palermo i z tamtąd dopiero do Civita Vechia. Kiedy mnie łódka odnosiła od Sycylji ku nowemu okrętowi, wspomniałem zajście małe a pełne znaczenia. Wioślarz miał w łodzi ogromnego żółwia, chwalił się nim, mówiąc, że jest na zabicie i że ma dobrą zdobycz, bo jest samicą i że powije wkrótce liczne potomstwo, żal mi się zrobiło biednego żółwia, kupiwszy nieboraka, rzuciłem w wodę, z jaką radością hulknął ku głębiom rodzinnym. ..

Przed dwoma tygodniami w Wenecji idąc ku sali Ridollo, w której odbyłem pierwszą próbę koncertu, z mostu pełnego ludzi dojrzałem kota, który zawieszony u zamkniętego kraty i deską okna, znajdował się bez ratunku tuż nad stromą ścianą kanału, kazałem mu z mostu podać deskę ku kracie, kot przerażony, jednym susem skoczył w kanał i bohatersko dopłynął schodów pałacu, dobiegłem od drugiej strony, by mu kazać otworzyć. I cóż powiesz! kot wchodzi do ślicznej sieni marmurowej, w środku której jest duża marmurowa studnia. Cóż robi? o to jednym skokiem skacze w studnię, gramoli się w rozpacz i stróż z przerażeniem mojem wyciąga nie żywego; cóż działał ten żółw szczęśliwy, co ten kot fatalny w obec przeznaczenia i sprawiedliwości jego? Czy nie tak dzieje się w życiu?

Bądź zdrów mój Onorato, przeprosiłbym cię za długość listu, gdyby nie był jako pokuta dla ciebie przesłany, pisz do mnie, pracuj biernie dopóki czynnie nie możesz, ale się nie daj przemistrzyć swemu mistrzowi i nie maluj aniołów bez skrzydeł! Rafael skrzydła im dawał. Są ci oni bez skrzydeł ale na ziemi, oto ludzie co w trudach i cierpieniach skwarem życia idą samotnie do końca, którym nikt nigdy nie podał bratniej ręki, a jednak miłość nie wygasła w ich łonach — tym daj piór — by ulecieli precz — — — A jednak, może za gorzko kończę, wszak rzekł mi Lenartowicz, że cierpienie ma kwiat swój gdy

dochodzi do szczytu! -- Miałoby mieć i owoc który ludzkość zbiera?...

Adio! kochany mój, pisuj ale nie na Berdyczew, jam już u siebie, gdzie kwitną cicho wiśnie i jabłonie, mam wiosnę, co mi wdzięczniejsza od sycylijskiej, wiejąca falami kłosów, miota wieńce kwiatów i motyli, a w dali błękitnieją Karpaty z szczytem Paraszki. Słowikowie nucą bez końca, że piękna ziemia wasza przeszłością swoją, ale nasza zaiste cudniejsza obecnością swego cierpienia i świętości i do niej przyszłość należy!

---

*Post - scriptum.*

Poznałem ową panią X... o którą tak ciekawie pytasz? Co ci o niej powiem? Jest podobna do wieży Pizanskiej. Gdyby była prosta nikt by o niej nie mówił, a tak.. zwraca uwagę wszystkich.